

bardzo wiele zawdzięczam bowiem mojej szkole. Wyniosłam z niej sporo rzetelnej wiedzy i głód dalszej nauki, który towarzyszył mi przez całe życie.

Ona to zaszczepiła mi zamiłowanie do porządku, wpoila sumienność w wykonywaniu obowiązków. Ona to nauczyła wiele wymagać od siebie, wzbudziła wstręt do posługiwania się wykrętami i do szukania łatwizny w życiu. Ona to zaostrzyła mój zmysł krytyczny, wyrobiła prostolinijność, prawdowość i odwagę przekonań. Wychowywana przez ludzi szlachetnych i postępowych, nasiąkałam od wczesnych lat atmosferą walki. Toteż kochałam bardzo moją szkołę. W całej mojej karierze szkolnej posiadam jedną jedyną nie odrobioną lekcję. Któż chciałby oszukiwać nauczycieli? Któż narażałby się na wstyd, że się nie umie tego, co zostało zadane? Przecież punktem honoru i ambicji było — umieć. A gdy się czegoś nie rozumiało, to się mówiło o tym wprost i nauczyciel cierpliwie tłumaczył rzecz od nowa. Nieraz na skutek częstych wyjazdów za granicę (mój braciszek Zdzisio był bardzo wątpliwy i matka wywoziła go na wiele miesięcy w świat, zabierając ze sobą całą trójkę dzieciarni) gubiłam wątek wielu przedmiotów. Musiałam nadrabiać zaległości dodatkowymi lekcjami w domu. Miałam z tym nieraz wielkie trudności, ale od mojej szkoły oderwać się nie dałam. Gdy któregoś roku matka spróbowała mnie przenieść do mniej zaawansowanego kompletu u doktorowej Ciechomskiej, byłam tak nieszczęśliwa, że po paru dniach zaniechano tego zamiaru. Szkoła wypełniała mi życie, szkoła odpowiadała na dręczące mnie zagadnienia, szkoła wskazywała kierunek. Że z takiej szkoły, jak moja, korzystają tylko dziewczynki bardzo zamożne i że mniej zdolne spośród nas po drodze odpadają, z tego nie zdawałam sobie wówczas sprawy. Uczyłam się dużo i intensywnie. Dumna byłam, tak jak i moje koleżanki, że w komplecie przechodzimy kurs gimnazjum męskiego (ówczesne gimnazja żeńskie i pensje dla pańienek miały program o wiele niższy). Opuszczałam szkołę bez żadnego formalnego świadectwa, bo

takiego komplet dawać nie miał prawa, ale z twardą wolą zdobycia matury, wstąpienia na wyższe studia i kształtowania życia zgodnie z moim sumieniem. Miałam wówczas lat szesnaście.

Panna Stefania

Decydujący wpływ na mój rozwój, na kształtowanie się mego charakteru wywarła panna Stefania Sempołowska. Uczyła mnie ona od lat najmłodszych aż po ostatnią nieomal klasę.

Jakimi mówić o niej słowami? Jak jej wyrazić mą wdzięczność i hołd najgłębszy? Ona to sprawiła, że opadły łuski z moich dziecinnych oczu i kiełkowało we mnie to, co śmiałe i szlachetne. Ona dopomogła młodej dziewczynie rosnąć na nie znającego kompromisów bojownika. Przez wiele szkolnych lat była mi ukochaną nauczycielką; co więcej — była mi człowiekiem najbliższym, opiekunem duchowym, kierownikiem z własnej woli wybranym, ułatwiającym torowanie drogi wśród zawiloci życia. Panna Stefania wywierała wielki wpływ na dzieci. Była nauczycielką z bożej łaski. Lekcje jej były przepojone jakimś niezwykłym ciepłem, które niezależnie od wykładanego przedmiotu promieniowało niejako od niej samej.

Gdy byłam zaledwie początkującą uczennicą, panna Stefania wygłosiła z okazji rocznicy powstania 63 roku okolicznościową pogadankę, której towarzyszyły przezrocza. Siedziałyśmy skupione w zaciemnionym pokoju, który normalnie służył nam za salę rekreacyjną. Było uroczyście i trwożnie. W głębi migotało nagle światelko latarni magicznej (tak wówczas nazywał się rzutnik). Przed mymi zdumionymi oczyma raz po raz ukazywały się wizerunki powstańców. Na ścianie to zjawiali się, to znikali jacyś ludzie i bili się między sobą. Ktoś z kimś zegnał się z płaczem. Panna Stefania stojąc za nami objaśniała znaczenie obrazów. Mówiła pięknie. Jej metaliczny głos

ochoczo, ubrana w żółtą atlasową suknię. W tym samym właśnie czasie zgłosiła swą gotowość wstąpienia do PPS. Kandydatura jej nie zyskała aprobaty. Jakże można było takiego lekkoducha, tańczącego do upadłego, i w dodatku strojącego się w żółtą atlasową suknię, przyjąć do partii! Pozostawało to w niezgodzie z ówczesnym surowym, na poły ascetycznym charakterem partii i partyjników.

Panna Stefania opowiadała o tym z humorem. Odniosłam wrażenie, że była rada przypadkowi, który ustrzegł ją od przynależności do PPS i uchronił od więzów dyscypliny partyjnej. Ale spośród działaczy partyjnych знаła panna Stefania nieomal wszystkich. Opowiadała o Stanisławie Grabskim, gdy był jeszcze socjalistą, o Bronisławie Hirszfeldzie, który zginął tragiczną śmiercią, i o wielu innych. Niejednemu spośród późniejszych dygnitarzy pomagała w okresie, gdy więził go carat.

Wspominała nieraz ówczesną organizację pomocy więźniom, swoją pracę wraz z Patkiem i innymi obrońcami politycznymi. Toteż z goryczą odnosiła się w późniejszych latach do byłych pepesowców, którzy, mając decydujący wpływ na posunięcia władzy państwowej, nie ustępowali carskim możnowładcom w metodach terroru w stosunku do komunistów polskich. Z niechęcią i lekceważeniem mówiła o Piłsudskim, z goryczą ustosunkowała się do Andrzeja Struga. Żaliła się nieraz na prokuratora Rudnickiego. Gorące, współczujące jej serce skłaniało ją przez lata do organizowania pomocy dla więźniów politycznych, jednocześnie zaś praca ta — jak to ze smutkiem podkreślała — była dla niej ciężarem ponad siły, odstręczała ją swą beznadziejnością, tym, że zrobić może tak bardzo niewiele. Mówiła o tym rzadko, w chwilach zniechęcenia, zwierając się niejako z tego, co ją najbardziej, najboleśniej gnębiło.

Niejednokrotnie, zwłaszcza gdy pracowałam wśród dzieci bezdomnych, a następnie, gdy studiowałam na Uniwersytecie Warszawskim, prowadziłam z panną Stefanią pogawędki na tematy pedagogiczne. Dotyczyły one spraw najrozmaitszych:

nowoczesnej pedagogiki niemieckiej, w której się rozczytywałam, oceny postępowych prądów pedagogicznych w Polsce pod zaborami itd.

Panna Stefania nieraz dzieliła się ze mną swymi wspomnieniami. Ze czcią mówiła o swym tragicznie zaginionym nauczycielu Marianie Bohuszu, którego nazwisko było mi wówczas jeszcze nie znane. Od panny Stefanii dowiedziałam się również o niełatwym życiu Prószyńskiego-Promyka, z jej ust usłyszałam chyba po raz pierwszy nazwisko Mariana Falskiego. Dzięki niej dowiedziałam się o działalności oświatowej Dziubińskiej i Kosmowskiej, poznałam Kruszynek i Gołotczyzną, zaznajamiałam się z walką zaraniarzy o postęp. Przy jej pomocy poznałam tragiczne położenie oświaty w Galicji i utwierdziłam się w przekonaniu, że polskie sfery posiadające świadomie i konsekwentnie podtrzymują ciemnotę wśród szerokich mas ludowych. Wiele wyniosłam z tych luźnych pedagogicznych pogawędek. Kiedyś, pamiętam, wszczęłam rozmowę o metodach wychowawczych Korczaka. Było to właśnie w okresie, gdy pod auspicjami pani Aleksandry Piłsudskiej powstał na Żoliborzu „Nasz Dom”. Był on przeznaczony dla dzieci osieroconych.

Kierownictwo pedagogiczne „Naszego Domu” powierzono po długich dyskusjach Korczakowi i jego współpracownicy, Stefanii Wilczyńskiej. Oboje wsławili się byli prowadzeniem przez wiele lat domu sierot dla dzieci żydowskich przy ulicy Krochmalnej. Nie porzucając swej dotychczasowej placówki, Korczak pełnił w stosunku do „Naszego Domu” rolę niejako doradcy. Z jego to — o ile pamiętam — inicjatywy znalazła się w „Naszym Domu” oszklona szafa, która miała odegrać nie byle jaką rolę wychowawczą. Zawierała ona przeróżne przedmioty zaopatrzone w kartki. Oto na przykład leżał w niej kamień, którym jeden z chłopców cisnął w szybę. Napis obok głosił, w jakim dniu miało miejsce zabicie i kto dopuścił się występku. Mnie osobiście bardzo podobał się wówczas ten pomysł. Eliminując karę, dopomagał on, zdawało mi się, do utrzymania dyscypliny w zakładzie. — A ja mam wątpliwości, czy

to jest właściwa metoda — powiedziała panna Stefania. Zdziwiłam się niezmiernie. — Czemu? — zapytałam zmieszana. — Dlatego, że nie sędzę — odpowiedziała panna Stefania — aby dziecku należało przypominać nieustannie o jego złym postępku, zamiast je podnieść na duchu i utrwalić zamierzenia poprawy. To je może przygnębić, upokorzyć. To je ponadto wystawia na złośliwość części kolektywu dziecięcego, który mu nieraz bezlitośnie wytknie jego uchybienia: a widzisz, co tam leży w szafie! Dziecko należy otoczyć atmosferą dobrych uczynków, wydobywać z niego, co w nim jest szlachetnego, i to właśnie stawiać mu przed oczyma — snuła dalej swe rozważania panna Stefania. Słuchałam jej słów jak zaczarowana. Kamień w szafce „Naszego Domu” stracił dla mnie całą swą przyciągającą siłę. Powracałam do domu w głębokiej zadumie. Jakże mistrzowskiego znawstwa duszy ludzkiej trzeba było, by tak subtelnie, z tak niezwykłą wnikliwością dostrzec, jak to uczyniła panna Stefania, że dziecko dzień w dzień przechodzi zawstydzone ze spuszczoną głową obok szafy zawierającej symbol jego występku, i by współczuć jego nie kończącej się męce. Na to zdobyć się mogła właśnie panna Stefania.

Miałam chyba lat czternaście, gdy zmarła staruszka, woźna szkolna, Marysia. Przez wiele lat w szkole pani Szalayowej wieszala dzieciom palta, wydawała klucze, pomagała się ubierać. Stanowiła ona dla nas nieodłączną część szkoły. Mała, zgarbiona, pogodna i cicha, lubiana była przez wszystkich. Gdy jej nie stało, poszliśmy gremialnie — my z kompletem — na wyprowadzenie zwłok do kościoła Św. Barbary. Katafalk, mnóstwo jarzących się świec, wysoka kościelna nawa wywarły na mnie niezatarte wrażenie. W kościele bywałam przecież nader rzadko, bodaj że po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam w obrzędach kościelnych związanych z pogrzebem.

Krocę powoli w kondukcje za trumną. Obok mnie idą koleżanki, w pobliżu — panna Stefania. Jest mi uroczyście i nieco strasznie. W pewnej chwili nie wytrzymuję nadmiaru niezwykłych wrażeń. Twarz moja kurczy się w nagłym grymasie,

nie mogę zapanować nad sobą: nieoczekiwanie zaczynam śmiać się. To okropne! Jestem przerażona, ale nie mogę opanować odruchu. Co to będzie? Na pogrzebie ludzie płaczą, jakżeż więc ja mogę się śmiać! Wydaje mi się, że wszystkie oczy zwracają się na mnie. Nauczyciele na pewno potępią mnie za brak serca! Oto zbliża się panna Stefania. Nie mówi nic, kładzie mi dłoń na ramieniu. Jestem jej głęboko wdzięczna za ten gest i za jej milczenie. Ona rozumie, że to nie moja wina, ona wszystko rozumie, co dzieje się ze mną! Powoli śmiech mija. Po jakiejś chwili jestem już spokojna.

Trzeba było niezwykłego wyczucia cudzych przeżyć, jakim obdarzona była panna Stefania, trzeba było jej pedagogicznego daru, by zrozumieć, co działo się w duszy kroczącego obok niej dziecka. I by go nie skarcić.

Była ona, jak to się mówi zwykle, pedagogiem z powołania, wychowawcą z bożej łaski. Wywierała nieodparty wpływ na młodzież. Przed laty zapragnęła mieć własną placówkę, by wedle porywu własnego serca kształtować pokolenie dnia jutrzejszego. Założyła tedy szkołę. Nieraz mi o niej opowiadała. Czułam, że była z nią mocno uczuciowo związana. Szkoła była bardzo postępową i skupiała kwiat ówczesnego nauczycielstwa polskiego. Ale przetrwała niedługo. Zmogły ją — o ile mogłam wywnioskować — trudności finansowe i toczące się przeciwko niej zjadliwe intrygi. Bogata kółtuneria obawiała się buntowniczego ducha szkoły i wręcz ją bojkotowała. Inteligencja, która posyłała do niej swe córki, nie śmierdziała groszem.

Tak więc trzeba było zrezygnować z jej prowadzenia i powrócić do dawania lekcji na kompletach i na pensjach. Dawała ich panna Stefania mnóstwo. Lubiała swą pracę. Z zachwytem opowiadała o tym czy tamtym ze swych uczniów. Ale odnosiło się wrażenie, że nie wystarcza jej takie wyrywkowe, lekcyjne tylko oddziaływanie na młodzież.

Było w niej pragnienie wywierania wpływu na całokształt rozwoju formującego się człowieka. Z tej właśnie tęsknoty zrodziło się przy pierwszej nadarzającej się sposobności — gdy

tylko opadły więzy carskiej cenzury — czasopismo dla dzieci „W słońcu”. Pochłaniało ono pannie Stefani mnóstwo czasu, było źródłem nieustannych kłopotów, wśród których finansowe nie należały zgoła do białych. Ale „W słońcu” to była placówka i tak właśnie podchodziła do swej pracy w redakcji panna Stefania. Oganiając się nieustannie od ataków ciemnogrodu, przechodząc do porządku dziennego nad obojętnością czynników oficjalnych, przewyciężając martwość mieszczańskiego środowiska rodziców — z uporem i wytrwałością wydawała panna Stefania tygodnik dla dzieci.

Piękne to było pismo. Pełne słońca i radości, budziło uczucia braterstwa, uczyło współczuć uciśnionym i kochać ludzkość. Każdy numer pisma witałam z niecierpliwością i czytałam ja, dorosła, od deski do deski. Spróbowałam zostać jego współpracownikiem. Napisałam opowiadanie osnute na dwóch niejako wątkach. Jednym było zmartwienie małej dziewczynki, której ginie kotek, w drugim wkroczenie w owym właśnie dniu legionów do osady, w której mieszkała dziewczynka. Wszystko oczywiście kończyło się pomyślnie: dziewczynka odnajduje wreszcie swego kotka uspiętego na strychu i z radością przygląda się przez okienko na strychu wojsku, maszerującemu po ulicy.

Panna Stefania nie przyjęła mego opowiadania, skrytykowała je, tłumacząc mi, że nie należy stawiać na jednej płaszczyźnie sprawy zaginięcia kotka i przeżyć związanych z legionami. Byłam bardzo zmartwiona jej osądem. Na wiele lat wytrącił mi on pióro z ręki. Kiedyś, w szkole, nie umiałam przecież pisać wypracowań. Teraz przekonywałam się, że nie zdołam napisać prostego opowiadania dla dzieci, więc pisać nie potrafię — wnioskowałam.

Ceniłam sobie nadzwyczaj godziny spędzone na rozmowach z panną Stefanią. Nieraz miałam wyrzuty sumienia, że za dużo zabieram jej czasu. Uspokajała mnie z uśmiechem. Chętnie widziała wokół siebie ludzi. Znosili jej kwiaty, które bardzo lubiła. Kiedyś, pamiętam, przyniosłam jej parę gałązek modrzewia, pokrytych młodym puszkim wiosennego igliwia.

Okazało się, że to jej ulubiona roślina. Jakże byłam rada! Od dawna kochałam modrzewie, czy to za ich wątość i przezroczystą zieleń, czy dlatego, że zanikają i giną, czy też może dlatego, że w Lisowicach nad stawem rośnie taki precudny stary modrzew, szemrzący dostojnie o czasach, które minęły.

Teraz pokochałam modrzewie jeszcze bardziej, skoro dowiedziałam się, że i panna Stefania widzi w nich najpiękniejsze drzewa. Kiedyś zamiast kwiatów przyniosłam pannie Stefani tomik wierszy. Były to wiersze niemieckie, autora ich nie pamiętam — może był to Fleischlen? — poezja do mnie raczej nie przemawiała. Wiersze czytałam rzadko. Ale te trafiły do mnie. Trwała wojna. Było smutno dookoła. A oto jeden z wierszy opisywał ponury nastrój poety. Niespodzianie ktoś wnosi mu do pokoju bukiet róż i jego udręka rozprasza się, słabnie... Przeczytałam ten wiersz na głos pannie Stefani. — Czy możesz mi go zostawić? — zapytała. Dowiedziałam się wówczas, że jest wielką miłośniczką poezji. Było to dla mnie czymś zgoła nieoczekiwanym. Poznawałam pannę Stefanię z nowej, nie znanej mi strony. Każda bytność u niej przynosiła coś nowego. Kiedyś, gdy się jej zwierzała z kolejnej mojej rozterki — przecież nieustannie dręczyło mnie to, że korzystam z krzywdy ludzkiej — opowiedziała mi panna Stefania o znajomej swojej czy powinowatej, Sabinie Zielińskiej. Był to niezwykle człowiek. Pracowała bodaj jako nauczycielka. Mieszkała gdzieś na Powiślu, nędznie i samotnie. Sama prała, sama sprzątała, sama gotowała. Nie chciała, by jej ktoś posługiwał. Nie chciała osobiście nikogo wyzyskiwać. Pragnęła żyć w zgodzie ze swym sumieniem. Postać Sabiny Zielińskiej, której nie dane mi było poznać osobiście, utkwiała we mnie głęboko.

Ach! Gdybym mogła postępować tak jak ona. Niczego bardziej nie pragnęłam. Z utopijności jej zachowania się nie zdawałam sobie wówczas sprawy. Słuchałam opowiadań o Sabinie Zielińskiej z zapartym tchem. Wspominała mi o niej oprócz panny Stefani, w słowach pełnych szacunku, matka jednej z mych szkolnych koleżanek, pani Regina Lilientalowa.

Trzeba było lat, bym zrozumiała do końca, że nie wystarczy odgradzać się od zła, że nie pomogą marzenia o tym, by być osobiście czystym wśród brudu i ohydy, i że jest tylko jedna droga — droga walki ze złem, z krzywdą i poniewierką. Tak oto dojrzewałam, wspomagana słowem serdecznym przez pannę Stefanię. Biegłam do niej, by się wyzalić, by zaczerpnąć sił, by odetchnąć atmosferą szlachetności, jaka ją otaczała. Przez wiele lat szukałam u niej poparcia i zawsze znajdowałam pomoc. Wychodziłam od niej wzruszona, rozjaśniona. Po każdej z nią rozmowie czułam się pokrzepiona i jakaś inna, lepsza. Otwierała przede mną nowe horyzonty — dla myśli niespokojnej i dla mego wzburzonego serca. Gdy na uniwersytecie pod wpływem wykładów filozofii i biologii załamano się we mnie wiara w postęp, stanęłam przed tragiczną pustką i przeżywałam ostry kryzys. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że „marksizm — to cały światopogląd”, jak to pięknie formułuje Plechanow. Do tego zrozumienia dopracowałam się w trudzie i mozołach dopiero w następnych latach. Na razie — jak zwykle — udałam się po pomoc duchową do panny Stefanii. I właśnie tylko do niej. Była w niej bowiem bezwzględna szczerłość przekonań, jedność słów z czynami, przedziwna harmonia między tym, co się robi, a tym, w co się wierzy. To urzekało, przyciągało ku niej mnie, co tak boleśnie szukałam uczciwości w życiu. Ale nie tylko mnie. Garnęli się do niej ludzie najrozmaitsi: jedni szukali u niej oparcia, inni serdecznego ciepła i macierzyńskiej troski. W mieszkaniu jej zawsze było pełno. Dla każdego znajdowała czas. Każdego umiała wysłuchać i każdemu w sobie tylko właściwy sposób dopomóc. Jakieś głębokie ludzkie zrozumienie przeżyć drugiego człowieka, który szamoce się i cierpi, i dlatego do niej przychodzi, cechowało ją w szczególny, niezapomniany i niepowtarzalny sposób.

Umiała wykrzesać z człowieka to, co było w nim najlepszego, trafiała do ukrytych, najbardziej cennych strun jego duszy, przyprószonych czy nadłamanych przez życie. W każdym człowieku jest coś szlachetnego — mawiała nieraz — nawet

w tym, który na pozór jest do cna zdemoralizowany, odzywają się wartościowe porywy. I właśnie do nich z niezwykłą wprost przenikliwością nawiązywała panna Stefania.

Zdumiewająca była siła, z jaką oddziaływała na ludzi sponiewieranych i zatłamszonych przez życie. Kiedyś, aresztowana przez władze carskie, znalazła się w więzieniu we wspólnej celi z prostytutkami. Zapytana z wolności, czego jej potrzeba, poprosiła o lusterka, wstążeczki i drobne świece. Stanowiły one przedmiot marzeń i pożądań zamkniętych wraz z nią prostytutek. Pragnęła sprawić im przyjemność.

Na wolności byli tacy, którzy brali jej to za złe: demoralizować prostytutki, do czegoż to podobne! A ona opowiadała mi o tym w wiele lat później. prostytutki były wzruszone i uradowane. Zapomniały na chwilę o swej poniewierce. Poczwały się znowu ludźmi. Ktoś okazał im zwykłą, ludzką przychylność. Za to lgnęły do panny Stefanii bez pamięci.

Garnęli się do niej ludzie z różnych środowisk, o różnych przekonaniach i światopoglądach. Przychodzili pełni bólu, by opowiedzieć o swej krzywdzie, by podzielić się swą udręką. W rozmowach i wyznaniach zrzucali z siebie gorzki ciężar rozczarowań, spowiadali się ze swych czynów. Nieraz widać było u niej ludzi płaczących — nad sobą czy nad innymi, kto to wie? Wiele ludzkiego cierpienia przewinęło się przez gabinet panny Stefanii. Ale wychodzili od niej ludzie jakby mocniejsi, niż przyszli, rozjaśnieni w sobie, pokrzepieni.

Sponiewierani pariasi odyskiwali poczucie własnej godności, a bojownicy z wdzięcznością wdychali atmosferę wielkiego umiłowania człowieka. Było w pannie Stefanii coś dostojnego, co urzekało w sposób niepowtarzalny. Czarna suknia, tren — to były tylko zewnętrzne akcesoria. Jej wysoka postać, jej mądra, wyrazista twarz stwarzały niezapomniany czar. Jej piękny metaliczny głos brzmiał w chwilach wzburzenia jak wyzwanie. A jednocześnie było w niej jakieś niewypowiedziane dobro, coś niezwykle miękkiego, macierzystego. Jej pełen wyrozumiałości spokój skłaniał do zwierzeń. Otwierały się przed nią dusze ludzkie. Wiele trudnych spraw

ludzkich, wiele bolesnych wahań dopomogła rozstrzygnąć panna Stefania. Jej mieszkanie przy ulicy Smolnej 7, jej zaciszny błękitny gabinet o pięknych staroświeckich meblach — z rozrzewnieniem wspominają ci wszyscy, którzy u niej szukali pomocy i otuchy. Ufali jej ludzie, kochali ją i chylili przed nią czoła. Nawet wrogowie odzywali się o niej z szacunkiem.

Kochałam ją bardzo. Ilekroć wychodziłam od niej, mówiłam: „dziękuję”, a ona pytała z uśmiechem: — Za co mi dziękujesz, Marylko? — Było to pytanie retoryczne. Wychodziłam od panny Stefanii lekka, rozjaśniona. W serdecznej z nią rozmowie zrzucałam z siebie ciężar szarpiących mnie sprzeczności. Słuchała zawsze uważnie i cierpliwie. Podawała pomocną dłoń. Prostowała trudne ścieżki młodzieńczych poszukiwań. Rozumiała wszystko i wszystkiemu umiała jakoś z głębi serca zaradzić. Z szacunkiem, miłością i wdzięcznością pochylałam się zawsze do jej rąk. W dzieciństwie z obowiązku całowałam w rękę matkę, ojca i babkę — tak nakazywały zwyczaje panujące w naszym domu. Panna Stefania była jedynym człowiekiem w moim życiu, którego całowałam w rękę z głębokiej wewnętrznej potrzeby. Czyniłam tak nawet wówczas, gdy byłam już zupełnie dorosła. Nie potrafiłabym inaczej, chociaż nadeszły czasy, gdy na niejedno zjawisko — ja, komunistka — patrzyłam odmiennie aniżeli panna Stefania. Więź, która mnie z nią łączyła od lat dziecińczych, przetrwała do końca, nacechowana wdzięcznością i tkliwym uczuciem.

W latach późniejszych, gdy byłam już członkiem partii i działaczem, przy sposobności chętnie zachodziłam do panny Stefanii.

Gdy po pierwszym moim wyroku wyszłam z więzienia, panna Stefania umówiła się ze mną w Łazienkach. Spacerowałyśmy długo po cudnie jesiennym parku. Obie bardzo kochałyśmy przyrodę. — Chciałam, abyś po szarzyźnie więzienia znowu ujrzała piękno wokół siebie — powiedziała mi w pewnej chwili. Było w tym niezwykle subtelne odczucie przeżyć drugiego człowieka. Oto gdzie tkwiła najgłębsza istota

czaru, jaki ona roztaczała, tajemnica wywieranego przez nią wpływu. Jedni nienawidzili jej, drudzy kochali ją serdecznie.

Nikt nie mógł przejść obok niej obojętnie. Była szlachetna i niezwykła. Żyła tak, jak chciała. W zgodzie ze sobą, ze swym sumieniem, służyła ludziom. I taka pozostała w mej pamięci. Po raz ostatni widziałam ją w listopadzie czy grudniu 1939. Jej przytulne mieszkanie na Smolnej pod siódmym było już zbombardowane. Chwilowo schronienia udzielił jej wówczas znany obrońca polityczny, adwokat Berenson. Tam pożegnałam ją, by jej więcej w życiu nie zobaczyć. Kochana panna Stefania! Twierdziłam nieraz, że to ona zrobiła ze mnie człowieka. W gruncie rzeczy tak właśnie było.

* * *

Już po napisaniu tych wspomnień natrafiłam w książce Duninówny na opis spotkań z panną Stefanią. Stała mi ona jak żywa przed oczami. Dlatego pragnę przytoczyć ten fragment. Oto co pisze Duninówna: „Kiedy mówię o działaczach i oświatowcach, nie mogę nie wspomnieć, chociażby w paru krótkich słowach, o Stefanii Sempołowskiej. Poznałam ją w wiele lat później, nie przypominam sobie tego dobrze, czy był to rok 1920, 21 czy 22, a może nawet jeszcze 1919. Niedawno nastąpił koniec pierwszej wojny światowej, wróciliśmy po trzyletniej nieobecności z Moskwy, gdzie stawiałam pierwsze kroki literackie. Zaczęłam budować swe nowe życie, a dowiedziawszy się o wydawanym przez Sempołowską młodzieżowo-dziecięcym piśmie «W słońcu», zgłosiłam się do niej, proponując współpracę. Często potem bywałam na Smolnej i zawsze, już w tej pierwszej chwili, w której kładłam palce na guzik dzwonka, zaczynałam doświadczać powtarzających się, pełnych emocji wrażeń. Wtedy zawsze — długa chwila ciszy... potem taki sam zawsze, miarowy, posuwisty, trochę ciężki krok. Wyraźny szelest ciągnącego się po podłodze trenu czarnej sukni. Mocne odsunięcie zatrasku. Stawałam w otwartych drzwiach i zawsze z jednakowym podziwem spoglądałam

na tę szczególną postać, dokoła której już zaczynała się tworzyć legenda. Była wysoka, silnie zbudowana, typowo «posagowa», choć już wtedy niemłoda. Twarz miała przykuwającą. Bo nie o to chodziło, że naprawdę miała rzeczywistą urodę o kresowym typie, że miała nieskazitelną świeżość sniadawej, podszytej ciemnym rumieńcem cery, że miała śliczny wykrój ust, wspaniałe zęby i pod wyrazistymi łukami ciemnych brwi — wielkie, piękne, w puszystej oprawie ciemnych rzęs, szare chyba, gwiaździste oczy. Uderzający, niespotykany był wyraz jej twarzy, spokojnej, opanowanej, stanowczej i łagodnej jednocześnie, nie surowej, lecz poważnej zarówno w milczeniu, jak w mowie i uśmiechu. Widziałam ją zawsze w sukni gładkiej, czarnej, ściśle opinającej jej mocną, kształtną kibić, płynnymi fałdami opadającej aż do samej ziemi i przelewającej się poza nią długim ruchomym trenem. Od dziesiątków lat nikt już takich sukien nie nosił. Ale jej było w tym pięknie. Miała w swej postaci coś z amazonki i coś z wielkiej damy z kresowego dworu. Widziałam kiedyś jej przepyszne włosy spuszczone na plecy w dwóch ciężkich, ogromnych warkoczach. Byłam olśniona. Stawiałam wówczas pierwsze, dość późno zresztą rozpoczęte kroki na pedagogicznym terenie. Ona, pedagog z natchnienia po prostu, poza fachową wiedzą — ciekawie wypytywała mnie o moje spostrzeżenia, o najpierwsze wrażenia z zetknięcia z młodzieżą, o moje dość jeszcze chwiejne sposoby nauczania. W tych bardzo dla mnie ciekawych, pełnych treści rozmowach godziłyśmy się na jedno, że dobry nauczyciel nie może się zasklepić w swym fachu, że poza swym nauczycielskim zawodem musi mieć świat inny, oddawać się innym jeszcze zainteresowaniom i upodobaniom, aby nie skostnieć, nie zamknąć się w ciasnych ramach swej specjalności”.

Znowu jak ongiś stoję u drzwi mieszkanka panny Stefanii. Pociągam za dzwonek. Drży mi serce z niecierpliwości i wzruszenia i słyszę ciche kroki panny Stefanii. Staje we drzwiach,

zawsze poważna i dostojna. Uśmiecha się do mnie. A mnie robi się tak radośnie na duszy. Przechodzimy do gabinetu. Płynie serdeczna rozmowa.

Ach, dawne to czasy! Nie ma już mieszkania na Smolnej. I nie ma panny Stefanii. Ale ja, jak ongiś w dzieciństwie i młodości, przypadam do jej rąk. Pochylam się z głęboką czcią ku tej, która zrobiła ze mnie człowieka. Jakimi słowami mam mówić o mojej dla niej wdzięczności?

Bunt

Zanosilo się na to od dawna. Drażniło mnie wszystko: otaczający mnie przepych, leniwa beczynność kobiet, towarzyskie, pełne obłudnej uprzejmości zakłamanie. Zwłaszcza to ostatnie stało się dla mnie przyczyną licznych starć i goryczy. Doszłam bowiem do wniosku, że dorośli kłamią, kłamią nieustannie.

Dzwoni telefon: ojciec każe powiedzieć, że go nie ma w domu, a przecież siedzi za stołem i je obiad. Matka uśmiecha się uprzejmie do odwiedzającej ją znajomej, a ja wiem, że jej nie cierpi. Stosunki wzajemne między ludźmi zdają się być oparte na fałszu, na obrzydliwym krętactwie, stanowią jakieś ohydne grzęzawisko uniżoności i obłudy. Dorastająca dziewczynka nie może dać sobie z tym rady. Uważa, że trzeba to wszystko zmienić, unicestwić. Za punkt honoru poczytuje sobie mówienie prawdy, i to prosto w oczy. Gardzi wszelkim udawaniem, dwulicowością. Jest młodzieńczo bezwzględna, do każdej nawet drobnej sprawy podchodzi od strony zasadniczej. — Nie bądź taka zasadnicza — powie jej za kilka lat później jej brat Marek. Ale ona właśnie jest taka i uważa, że trzeba iść przebojem. Awantura, wielka i niezapomniana, wybucha o jakiś drobiazg, który po latach zatarł się w pamięci. Zaczyna się od tego, że dzieci o coś się kłóć. Są właśnie wakacje wielkanocne i u nas goszczą kuzynki Poznańskie. Spór przybiera na sile. Wkraczają starsi. Matka żąda, by Ma-

PPS-Lewicy. Moje wychowanie polityczne trwało. Kiedyś, nie pamiętam przy jakiej okazji, zawiadomiła mnie jedna z koleżanek o zebraniu, które miało na celu ożywienie pracy wśród kobiet. Otrzymałam adres na pół konspiracyjnego zebrania. Lewicowe partie polityczne wiodły bowiem za Niemców żywot pozornie legalny, ale prawie cała ich praca odbywała się nieomal w podziemiu. Gdy przybyłam do wskazanego mi mieszkania, okazało się, że jego właścicielką jest towarzyszka Praussowa, znana działaczka PPS. W pokoju było sporo młodych dziewcząt i kilku oficerów legionowych. Zebranie to zorganizował Wydział Kobiety PPS. Starsze towarzyszki pragnęły zaangażować nas, młode, do aktywnej pracy wśród kobiet. Jednocześnie zaś oficerowie-legioniści napomykali coś nieco o zaangażowaniu nas do pracy kurierek, o wywiadzie wojskowym na rzecz POW — więc znowu było to nie to, czego szukałam. O socjapatriotyzmie miałam już urobione zdanie. Nowe było jednakże dla mnie ściśle powiązanie działalności PPS ze służbą wywiadowczą na rzecz legionów. Później w życiu miałam sposobność więcej się o tym dowiedzieć. Ale ta lekcja praktyczna bardzo mi się przydała. Noga moja nie powstała więcej w mieszkaniu towarzyszki Praussowej. Krytycznie analizowałam już wówczas argumenty polityczne i w coraz większej mierze wyrabiałam sobie samodzielność sądów. To uchroniło mnie od potrzebasków, jakich nie brak było na mej drodze. Rozeznać się w rzeczywistości dopomagała mi panna Stefania Sempołowska, do której biegłam niejednokrotnie na długie osobiste rozmowy.

Uczę się przemawiać

Zebranie Bratniaka było przygotowywane od dawna. Miano na nim wybierać nowy zarząd. Wywieszano listy zawierające nazwiska kandydatów. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że nie ma wśród nich ani jednej kobiety. Było nas wtedy na uniwersytecie sto pięćdziesiąt studentek na bodaj

półtora tysiąca kolegów. Wśród dziewcząt było wiele bardzo aktywnych i wartościowych. Własnym wysiłkiem założyliśmy dla zamiejscowych Dom Akademiczek, oczywiście w stanie załączkowym. Początkowo mieścił się on w mieszkaniu prywatnym na Wspólnej, dopiero znacznie później przewędrował do obszernego budynku na Górnośląską. Byłam dumna, że należę do tych, które podpisały pierwszy statut założycielski. Dziewczęta miały mnóstwo bytowych kłopotów. A w Bratniaku nie będzie ani jednej ich przedstawicielki! Oburzyłam się. Sprawa równouprawnienia kobiet była dla mnie kanonem. Wychowana wśród chłopców, uważałam sobie za punkt honoru od dzieciństwa nie dać się przez nich prześcignąć. Rywalizowałam z nimi w nauce, brałam udział w ich grach i gonitwach i nieraz im przewodziłam. Gdy nieco wydoroślałam, nie pozwalałam na to, by chłopak odstępował mi miejsca lub przynosił krzesło. Jestem tak samo silna jak ty — mawiałam do mych braci i kuzynów. Kpili sobie oni nieraz ze mnie, ale traktowali jak równego sobie kolegę. Potem przyszła lektura książek Karin Michaelis, Ellen Key i epokowa książka Bebla „Kobieta i socjalizm”. Równouprawnienie kobiet stało się jednym z punktów węzłowych mego życiowego programu: przecież i mnie osobiście zapowiadało ono wyzwolenie. A tu nagle taki cios! Bratniak naszego uniwersytetu i ani jednej kobiety w jego kierownictwie. Co robić? Postanowiłam wystąpić na zebraniu i zażądać włączenia do list kandydatów kobiety. Postanowienie to drogo mnie kosztowało, chociaż nabyłam już pewnej wprawy w zabieraniu głosu i świadomie pracowałam w tym kierunku, by pozbyć się tremy. Pamiętam, jak kiedyś w Towarzystwie Kursów Naukowych, w czasie zajęć praktycznych z pedagogiki, pod kierownictwem pani Lipskiej-Librachowej, stałam z grubym, czarnym brulionem w ręku przed tablicą i miętosilałam go w zdenerwowaniu. Miałam w nim zapisany cały opracowany przeze mnie referat, ale postanowiłam doń nie zaglądać. W domu nauczyłam się go nieomal na pamięć, a teraz przyszła godzina próby. Wyszłam z niej zwycięsko, chociaż dużo mnie to kosztowało. Nadal więc walczyłam

systematycznie o przewyżczenie mego onieśmienia. Uważałam bowiem, że działacz społeczny musi umieć występować przed masami. Toteż z biegiem czasu, przygotowując się skrupulatnie do wystąpień na seminariach i ćwiczeniach, nie pisałam referatu w całości, a ograniczałam się jedynie do krótkich konspektów, nadających kierunek przemówienia. Była to dobra szkoła. Przydała mi się ona bardzo w późniejszej mojej działalności, gdy w warunkach nielegalnych z małego karteluska, zawierającego zaledwie parę nie związanych ze sobą słów, trzeba było odtwarzać bogatą treść zasłyszanego sprawozdania, przekazywać podjęte uchwały lub dać ocenę wypadków ostatniej doby. To wszystko miało jednakże przyjść dopiero z czasem. Na razie zaś czekało mnie wystąpienie na zebraniu Bratniaka. Dotychczas zabierałam głos tylko w niewielkim gronie. Miałam więc niebywałą treść i wahałam się do ostatka. W dniu zebrania przypadało seminarium profesora Abramowskiego. Miałam więc pretekst, godziwy pretekst, aby na zebranie nie pójść. Nerwowo chodziłam tam i z powrotem po mym pokoju, powtarzałam w myślach słowa mego przemówienia, a jednocześnie biłam się ze sobą: iść — nie iść. Przecież nie powinnam opuszczać seminarium. A czy wolno mi nie iść na zebranie? Będzie to przecież tchórzostwo z mej strony. Skoro uważam sprawę za słuszną, nie wolno mi się uchylać od spełnienia obowiązku. Ten wzgląd wreszcie przewyciężył. Weszłam do auli uniwersyteckiej, gdy zebranie już trwało. Moje wahanie sprawiło, że się spóźniłam. Sala była pełna i rześkie oświetlona. Ponad tysiąc studentów brało udział w obradach. Z drżeniem serca podałam do prezydium moją karteczkę z prośbą o głos. Gdy po jakimś czasie usłyszałam swoje nazwisko, szłam na mównicę, a podłoga kołysała się pod mną. Miałam wrażenie, że ani jedno słowo nie przejdzie mi przez gardło. Wzięłam się w garść. I oto wszystkie oczy skierowały się ku mnie. Nagle szalony wybuch śmiechu zawtórował mym słowom. Studenci zaczęli rzucać głośne uwagi, wykpiwające mój wniosek. Mimo to kończyłam przemówienie, nie bacząc na docinki. A potem

jeden mówca po drugim wchodził na mównicę i tak czy owak wyszydzał mój pomysł.

Bo i cóż — kobieta do kierownictwa Bratniaka? Studenci też potrafili zadbać o potrzeby koleżanek. Wyszłam z zebrania późnym wieczorem, speszona, zdetonowana, ale przekonana, że to jednak ja mam rację. I oto stała się rzecz dziwna. Przekonałam się niebawem, że moje wystąpienie odbiło się szerokim echem w studenckim świecie. Przybiegł do mnie mój brat stryjeczny, Antek, student politechniki, z zapytaniem, czy to rzeczywiście ja przemawiałam na wiecu Bratniaka. Potwierdziłam, dziwiąc się, skąd o tym już wiadomo na politechnice. Kiedy znalazłam się w tramwaju, obok rozmawiało ze sobą dwóch studentów. O dziwo! Omawiali moje wystąpienie, zresztą bez szyderstw, jakie spotkały mnie w auli. A kiedyś wieczorem zagadnął mnie o moje wystąpienie ojciec i bardzo był z niego rad. Wszystko to było zupełną niespodzianką i sprawiło mi wielką radość. A więc nie wszyscy kpili ze mnie! Było to przeżycie nie lada. Ale to najważniejsze, co mi pozostało na zawsze z wystąpienia w auli, to było poczucie, że odtąd niestraszne mi są już wielkie zebrania. Potrafię na nich przemawiać i nie będę się ich więcej bała. Warto było — mówiłam sobie — walczyć ze sobą i zmusić się do pójścia na zebranie. Dobrze się stało, że poszłam za głosem obowiązku. Byłam rada ze siebie. Pokonałam kolejną trudność.

Konkury

Na chłopców nie zwracałam właściwie żadnej uwagi. Traktowałam ich od dzieciństwa jak kolegów i oni odnosili się do mnie w podobny sposób. Przyjaźniłam się z moim bratem stryjczym i rówieśnikiem, Antkiem, z którym gadaliśmy o szkole, o nauczycielach i z zapalem graliśmy w szachy. Gorąca przyjaźń zawiązała się między mną a jednym z moich braci ciotecznych, Jerzykiem. Był on ode mnie nieco starszy

nać do nich jakiś nieznany cywil. Nawet czapka studencka, z którą się zresztą nie rozstawałam, nie była w stanie uchronić mnie w danym wypadku od sypiących się na mą głowę gromów. Zbaraniałam. Nie wiedziałam, do jakiego sanktuarium udało mi się mimo woli przeniknąć. Ale oto z grupy wojskowych wyłonił się niespodziewanie jeden z oficerów, który nieoczekiwanie przywitał się ze mną szarmancko, wziął mnie pod ramię i awantura skończyła się z miejsca. Był to mój przelotny znajomy Fredek Aronson (tak, zdaje się, było mu na imię). Gdy dowiedział się, co mnie sprowadza, z miejsca obiecał swą pomoc. Zaproponował, bym napisała parę słów, które chcę przekazać ojcu, a on wyda polecenie, aby mego ojca wywołano do aparatu juza (był to rodzaj telegrafu bez drutu, używany w sztabach, w okresie gdy nie istniało jeszcze radio) i odczyta mu mój list. Po raz drugi tego dnia zbaraniałam. Więc młody oficer Aronson to aż taka gruba szyszka? Wykonał on sumiennie swą obietnicę i ojciec — jak to następnie sprawdziłam — jeszcze tegoż wieczoru otrzymał ode mnie wiadomości. Ciekawy to był typ ten Aronson. Ojciec jego miał wielki sklep za Żelazną Bramą. Handlował suknem i materiałami ubraniowymi sprowadzanymi z Anglii. Uchodził za bogacza. Fredka spotkałam raz czy dwa na jakichś wieczorkach czy lekcjach tańca. Kiedyś na czyichś urodzinach u znajomych zjawił się Fredek. Było sporo młodzieży. Rozmowa toczyła się właśnie wokół tego, co kto z nas chciałby robić w życiu, Fredek oświadczył wręcz, że chciałby zostać wywiadowcą. Opowiadał, że posiada już w tej dziedzinie pewne doświadczenie. Jako student prawa przebrał się któregoś dnia za nędzarza, odpowiednio ucharakteryzował u teatralnego fryzjera i w porozumieniu z urzędem śledczym dał się zamknąć w celi z przestępcami. Po kilku dniach z rozmów prowadzonych przez więźniów wywnioskował o winie poszczególnych spośród nich i doniósł o tym organom śledczym. Mówił o tym z pyszałkowatością, chełpiąc się swym kunsztem i smakując poszczególne epizody. Byłam do głębi oburzona jego postępowaniem. Na skutek moich słów rozgorzała dyskusja na temat

moralności. W środowisku, w którym się tego dnia znajdowałam, nie mogła ona dać żadnych rezultatów. Dziewczęta patrzyły na czyn Fredka jak na bohaterstwo. A teraz oto znowu spotkałam Aronsona. Warunki zmieniły się gruntownie, aspiracje jego pozostały te same. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że instytucja, do której dotarłam, wywołując tak wielkie zgorszenie wśród jej pracowników, ma coś wspólnego z wojskowym wywiadem. Zresztą koledzy Aronsona, gdy zobaczyli jego stosunek do mnie, stali się dla mnie uprzedzająco grzeczni. Aronson — o ile mi wiadomo — wyjechał po zakończeniu działań wojennych do Anglii. Kończył tam podobno jakieś studia. Po Warszawie krążyły wieści, że stał się on człowiekiem bliskim Intelligence Service. Tak więc spełniły się, jak widać, jego marzenia. Nie spotykałam go więcej, gdyż niebawem udało mi się z Grodna wyjechać. Zdziś został załadowany do pociągu szpitalnego, ja jechałam w przedziale z niezwykle uczynnym i sympatycznym lekarzem. Nazwiska jego nie zapamiętałam. Na dworcu w Grodnie ktoś mnie znieścacka zawołał. Gdym się obejrzała, ujrzałam postawnego młodzieńca, który się do mnie uśmiechał. Był to najstarszy syn gospodarzy, u których mieszkałam w Drohiczynie. Mundur bardzo go zmienił. Przywitaliśmy się serdecznie. On jechał na wschód, ja zaś powracałam do Warszawy. Po kilku dniach brat znalazł się w domu. Miał bez mała 40 stopni gorączki. Matka drżała. Ale odchuchała go znowu. Lekarze, Zakopane, nadzwyczajna opieka zrobiły swoje. Po wielu miesiącach Zdziś wykaraskał się jako tako i powrócił do zdrowia. Ale mnie już wówczas od dawna nie było w domu.

W Berlinie

Rozpoczynał się nowy rok akademicki. Powracali na uniwersytet studenci i studentki, jedni z frontu, inni z placówek pracy społecznej. Bratniak żądał od każdego zaświadczenia: gdzieś był, coś robił w dniach trwogi. Bez tego nie było

możliwości kontynuowania studiów. Studenci-komuniści, którzy, podobnie jak ja, trzymali się na uboczu od pracy pomocniczej dla frontu, oraz ich sympatycy stanęli wobec dylematu: co robić? Ktoś podszeptał wyjście — trzeba wystarać się o fikcyjne zaświadczenia. Nie wolno pozwolić na to, by lewicę społeczną wyeliminowano z uniwersytetu — argumentowano. Trzeba więc iść na kompromis. Trudno mi było z tym się pogodzić. Wydawało mi się, że jest to nieomal zaprzęstwo. Większość jednakże kolegów i koleżanek spośród naszego lewicowego grona zaopatrzyła się już uprzednio w różne papiarki stwierdzające — wbrew prawdzie — ich współdziałanie z organizacjami pomocy frontowi. Ja wahałam się jeszcze. Przypadek zdarzył, że zetknęłam się wówczas z jedną z koleżanek, która wybierała się na dalsze studia do Berlina. Zaproponowała, bym jechała wraz z nią. Uchwyciłam się tego natychmiast. Oto było wyjście. Zdawałam sobie sprawę, że przed innymi kolegami ta droga jest zamknięta — wszak nawet w Warszawie ledwo wiązali koniec z końcem — ale byłam szczęśliwa, że nie będę popełniać kręactw, do których oni zostali zmuszeni. Rodzice moi byli zachwyceni moim pomysłem. Liczyli prawdopodobnie na to, że za granicą wywietrzeje mi z głowy radykalizm. Przygotowania do wyjazdu trwały krótko. Zaopatrzona w listy ojca do jego krewnych zamieszkałych w Berlinie, z adresem partyjnego kontaktu w kieszeni, ruszyłam w drogę. Berlin znałam już z lat dziecińczych. Zamieszkałam w poleconym mi przez kuzynkę ojca bardzo nobliwym pensjonacie przy Nickolsburger Platz. Uniwersytet berliński oszołomił mnie. Tysiące studentów, setki wykładów. Co studiować? Poradzić się nie miałam kogo. Próbowałam słuchać to tego, to owego profesora. Po warszawskiej niezbyt licznej uczelni, po przyjacielskiej atmosferze, jaka panowała wówczas między studentami a profesorami — w Berlinie czułam się zagubiona i obca. Zresztą sprawa studiów zeszła dla mnie niebawem na drugi, a z czasem — na dziesiąty plan. Bo też bogaty w przeżycia, płodny w następstwa stał się ten berliński okres mego studenckiego bytowania. Przede wszystkim do-

rwalam się do książek i utonałam w nich bez pamięci. Cóż to była za rozkosz wędrować po olbrzymim budynku niemieckiej partyjnej księgarni, zatrzymywać się to przy tym, to przy owym stoisku, grzebać się w książkach i broszurkach, odkrywać coraz to nowe skarby i z coraz to nową zdobyczą powracać do domu. Pochłaniałam niesłychaną ilość książek marksistowskich, mocowałam się z nimi, nie rozumiałam wielu dowodzeń, aż następowała chwila, gdy rozświeślało mi się w głowie i trudne zagadnienie, a wraz z nim szereg innych, stawały się jasne, logicznie powiązane, oczywiste. Tak, właśnie tak — przytakiwałam wywodom autora. Rosło we mnie radosne przekonanie i wewnętrzna pewność, że rozwiązanie dane przez marksistów jest jedynie słuszne. Z czcią patrzyłam na nazwiska autorów zdobiących karty tytułowe studiowanych przeze mnie dzieł. Marks, Engels, Plechanow, historia angielskiego ruchu robotniczego, Wielka Francuska Rewolucja, Komuna Paryska, Róża Luksemburg i Hilferding, wreszcie leninowska teoria państwa — wszystko to spletało się w jedną całość i powodowało nieustanny myślowy ferment. Wówczas to właśnie po raz pierwszy rozpoczęłam lekturę „Kapitału”. Szła mi z początku jak po grudzie. Wszak i do mnie miała zastosowanie znamienita wypowiedź Marksa, że jego dzieło łatwiej zrozumie walczący o swe prawa robotnik niżli zatopiony w grubych foliach profesor. Toteż było mi nieraz bardzo trudno i chwilami ogarniało mnie zniechęcenie. Rzucić tę książkę? Nie! Tego czynić nie wolno. Postanowiłam czytać „Kapitał” codziennie, w ciągu pół godziny — na więcej nie było mnie stać. Ale te pół godziny wymagały wielkiej z mej strony wytrwałości i usilnej pracy umysłowej. Później nieco, po pokonaniu pierwszej trudności, rozczytałam się w „Kapitale” na dobre. Wstrząsem stały się dla mnie przepiękne strofice o pierwotnej akumulacji kapitału, o tragicznym rabunku dokonanym przez garstkę wywłaszczycieli na szerokich masach narodu. Zwłaszcza opisy rugowania chłopów z ziemi, „Zjadanie ludzi przez owce” pozostawiły niezatarte wrażenie. A obok tego słynny rozdział, zatytułowany „Geschichtliche

Tendenz der kapitalistischen Akkumulation", krótki i jakże wyrazisty, uzasadniający z niezwykłą precyzją i nieodpartą logiką konieczność „negacji negacji”, konieczność upadku kapitalizmu! Dziś jeszcze brzmią mi w uszach prorocze, pełne pasji słowa:

„Das Kapitalmonopol wird zur Fessel der Produktionsweise, die mit und unter ihm aufgeblüht ist. Die Zentralisation der Produktionsmittel und die Vergesellschaftung der Arbeit erreichen einen Punkt, wo sie unverträglich werden mit ihrer kapitalistischen Hülle. Sie wird gesprengt. Die Stunde des kapitalistischen Privateigentums schlägt. Die Expropriateurs werden expropriert”. („Monopol kapitału staje się hamulcem dla sposobu produkcji, który się z nim i pod nim rozwinał. Centralizacja środków produkcji i uspołecznienie pracy dochodzą do punktu, gdyż już się nie mieszczą w swej kapitalistycznej skorupie. Skorupa ta zostaje rozsadzona. Wybiła godzina kapitalistycznej własności prywatnej. Wywłaszczyciele zostają wywłaszczeni”) (Podkreślenia autora).

Tak, to było potwierdzenie wszystkiego, co czułam i czego pragnęłam, to było teoretyczne uzasadnienie wszystkich moich dążeń. Ten świat zginąć musi. I zginie — dzwoniły we mnie wieszcze słowa Marksa. Zjawiska społeczne stawały się jasne i zrozumiałe, ich rozwój dawał się naukowo przewidzieć i określić. Marzenia przybierały postać twardej pewności. Stawała się przejrzysta perspektywa dalszej walki. Dowody dialektyki i historycznego materializmu spletały się w logiczną nieodpartą całość. Umysł rozwiązywał coraz to nowe zagadnienia, stawał się lotny i dalekosiężny. Oczy przenikały w nieznanne dziedziny, rozpromieniały się od ujranych treści. Radość najgłębszą rodziło zmaganie intelektualne, odkrywcze, nieustanne. Od owych dni i od owych niezapomnianych przeżyć, jakie mu zawdzięczam, pozostał „Kapitał” moją książką na zawsze.

W tym samym mniej więcej okresie natrafiłam na Plechanowa, a raczej odkryłam go dla siebie. Wiedziałam, że to wybitny teoretyk, ale nie znałam go dotychczas. Mała skromna

książeczka w szarej okładce nosiła tytuł: „Podstawy marksizmu”. Z książką w ręku kołysałam się miarowo na bujającym fotelu w moim nobliwym pensjonacie. Zaczynałam właśnie czytać. I oto nagle pierwsze zdanie uderzyło we mnie z niesłychaną siłą: „Der Marxismus ist eine Weltanschauung”. Doznałam olśnienia. Nie mam na to innego określenia. Więc to tak? Więc to cały światopogląd? Odczytywałam znowu i znowu to zdanie i powtarzałam je sobie w duchu. Myśli tłoczyły się, goniły jedna przez drugą, jakiś wicher kłębił je w mej głowie. Zamarłam w bezruchu, skupiona, zwarta, cała we władzy mego niebywałego odkrycia. Z niesłychaną intensywnością dokonywałam wielkiej pracy porządkowania napierających na mnie myśli. Wyzwoliłam się z metafizycznych konfliktów trapiących mnie w ciągu lat. Trwało to chyba zaledwie minuty, ale nigdy bodaj nie doświadczyłam bardziej gorączkowej i płodnej pracy intelektualnej. Wielki ciężar spadł mi z ramion. Nie czytałam dalej — myślałam. Odchodziły precz ode mnie dotychczasowe wątpliwości i trwogi. Tkwiące we mnie od lat, jak kolec w ranie, niezaspokojone wciąż pytanie: w co wierzyć? — obracało się w nicosć. Nareszcie następowało wyzwolenie. Przecież po wstrząsie doznanym w toku wykładów filozofii i biologii na uniwersytecie warszawskim, od owych dni nie przyszłam całkowicie do siebie. Udręka, utajona głęboko, trwała i dawała znać o sobie. Postęp, ewolucja, prawda — okazały się zbyt kruche, by mogły stanowić cel i drogowskaz działania. A więc: co dalej? Którą drogą? Rana z biegiem czasu zabiłiła się. Ale kolec pozostał. Teraz zniknął, zniknął bezpowrotnie. Jakże lekko stawało mi się na duszy. Jakby łuski opadły mi z oczu. Znalazłam klucz wszechrzeczy. Kryzys wewnętrzny został zażegnany raz na zawsze. Marksizm stał się moim światopoglądem i pozostał nim przez całe życie: „Der Marxismus ist eine Weltanschauung”. Jakże wdzięczna byłam Plechanowowi za te słowa, wypowiedziane jakby specjalnie dla mnie, słowa, które — wiedziałam o tym — były własnością milionów. Potem przyszły inne słowa, dumne, najdumniejsze bodaj

jestem "człowiek"

2! z tych, jakie wypowiedziała ludzkość: „Die Menschen machen ihre Geschichte selbst”. To rzucone przez Marksa mimochodem — w broszurze o Ludwiku Bonaparte — stwierdzenie było jak płomień. Ludzie sami tworzą swą historię. Ludzie sami tworzą swój los. Nie ma ponad nimi nikogo. Jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co dzieje się na świecie. Nikt nami nie kieruje, nikt nami nie rządzi. Jesteśmy twórcami dziejów. Jesteśmy siłaczami. Z podniesionym czołem idziemy w przyszłość. Co może być bardziej radosnego dla człowieka czynu? Przenikała mnie wielka, krzepiąca prawda. Nareszcie! Człowiek był wolny, w pełnym tego słowa znaczeniu był wolny. Wyzbyty lęku przed najwyższą istotą czy trwogi przed losem. Nikt już nie mógł nad nim panować. Przed nikim i niczym nie ugnie kolana. On sam — tylko on, twórca historii, sprawca wszystkich przemian społecznych na ziemi. Oto czym darzył mnie socjalizm — dumą człowieczą i wolnością człowieczą.

3 A potem przyszło jeszcze jedno — najpiękniejsze i najwznioślejsze: — „Filozofowie jedynie różnymi sposobami objaśniali świat, chodzi jednak o to, aby go zmienić”. Ta skromniutka, krótka, ostatnia spośród tez Marksa o Feuerbachu — wywarła na mnie głębokie wrażenie. Przyświadczałam jej całą moją duszą, całym moim gorącym uczuciem. Opadały ze mnie zmory jałowych sporów i metafizycznych rozważań, których tyle nasłuchiwałam się w środowisku inteligenckim. Znikały bezpłodne rozszczepienia włosa na cztery części i wszelkie „Weltschmerze”, w których kręgu męczył siebie i otoczenie mój brat Marek. Chodzi wszak o to, aby zmienić świat. To jest rzecz najważniejsza. Temu oddać można i trzeba wszystkie swoje siły — i temu poświęcić całą swą energię, trud poszukiwań intelektualnych i gotowy do poświęceń zapal.

W jedną harmonijną całość spletało się wszystko. Radość i siła nieodparta płynęły z tej harmonii. Nowy człowiek rodził się we mnie. Przyjechałam do Berlina jako socjalistka z uczuciem, z instynktu. Teraz przekształciłam się w człowieka, który

mocny jest nie tylko zapalem, ale i wiedzą, który nie tylko wierzy, ale wie i umie dowieść, że to właśnie my — marksisci — mamy rację. I że właśnie my — zwyciężymy.

Towarzysze

Adres partyjny, który otrzymałam przed wyjazdem z Warszawy, pozwolił mi w krótkim czasie dotrzeć do towarzyszy z kierownictwa KPRP przebywających na przymusowej emigracji w Berlinie. Stykałam się z nimi nieomal co dzień. Żyłam w nastroju radosnego podniecenia. Towarzysze z KC KPRP i ja, maleńka szara mrówka — toż to było nie do wiary, że znajduję się w ich otoczeniu, że mogę im być w czymkolwiek pomocna. Byli to wszystko działacze o wielkim doświadczeniu i wielkich zasługach. Otoczeni aureolą więzień i zsyłek, długich lat ofiarnej pracy — posiadali w moich oczach niewzruszony autorytet. Serce zamierało mi z początku na dźwięk ich nazwisk, na uścisk ich dłoni. Wielu z nich wypytywało mnie o mego stryja, którego znali, gdy był jeszcze działaczem SDKPiL. Widocznie lubili go, a być może, odgrywał on w swoim czasie niepoślednią rolę, o której nic mi nie było wiadomo. Pytał o stryja Mariana towarzysz Warski, pytali towarzysze Broński i Hanecki. Starzy działacze odnosili się do mnie od pierwszej chwili z chwytającą za serce przychylnością. Cierpliwie wyjaśniali trapiące mnie wątpliwości, radzili, co czytać, interesowali się moimi studiami, traktowali mnie jak bliskiego sobie człowieka. Działał tu niewątpliwie wpływ dawnych przyjaznych uczuć wobec mego stryja. Drugie pokolenie w tej samej rodzinie — słyszałam nieraz, gdy ten czy ów z przybywających do Berlina towarzyszy dowiadywał się, kim jestem. Było mi przyjemnie, że towarzysze darzą mnie zaufaniem. A jednocześnie było mi wstyd i gorzko, że stryj odszedł od ruchu robotniczego, sfilistrzał i wybrał spokojny żywot mieszczańskiego specjalisty.

Czego nie dokonały perswazje działaczy robotniczych, sprawiły fakty.

Towarzyszka Zośka, żywa, inteligentna i bojowa, zrozumiała, że jest na błędnej drodze. Miejsce swe znalazła w szeregach klasy robotniczej, w szeregach tych, którzy stanęli ramię przy ramieniu z rewolucją rosyjską. Nie ona jedna przeżywała podobną ewolucję. POW miała młodzież patriotyzmem i dawała ujście romantycznym porywom. Ale rewolucja rosyjska leczyła młodzież ze złudzeń. Dlatego właśnie tak wielkie znaczenie przypisywałam małej błękitnej broszurce, z którą zapoznałam się w Berlinie. Jej argumenty wydawały mi się nieodparte. Cóż można im przeciwstawić? Podzieliłam się pełnymi entuzjazmu uwagami na temat broszurki z towarzyszami, z którymi spotykałam się w Berlinie. Przestrzegali mnie oni przed złudzeniami. Trzeba było czasu, abym zrozumiała, że racja jest po ich stronie.

Z dziedziny moralności

Jak żyć? Jak kształtować życie osobiste, aby być w zgodzie z moralnością komunistyczną? To było zagadnienie, które wymagało odpowiedzi. Zdawało się, że wszystko rozstrzyga jedno słowo: wolna miłość, wolna, bo nie skrepowana żadnymi burżuazyjnymi przepisami i uświęconymi przez religię obrzędami. Wolna, bo wyzwarta burżuazyjnej obłudą, okrywającej zgniłą ohydę rozwiązłości. Wolna, bo nieomna na wszelkie materialne, idąca tylko za głosem serca. Tak mniej więcej układało mi się to w głowie.

Potwierdzenie mojego mniemania znalazłam u znanej pisarki bolszewickiej, towarzyszki Kołłontaj. Autorytet jej był wówczas bardzo znaczny. Towarzyszka Kołłontaj pełniła przez szereg lat funkcję dyplomatycznego przedstawiciela Związku Radzieckiego w Sztokholmie. Była zresztą w tym okresie jedyną kobietą w dyplomacji światowej. Znana była jako stara działaczka partyjna, co dodawało wagi jej słowom. A w swych

powieściach przedstawiała ona kobiety odchodzące od mężów, porzucające dom w imię uczucia do innego mężczyzny. W swych pracach publicystycznych stawiała w obronie kobiet, które w imię szczęścia osobistego zrywają krępujące je więzy małżeńskiego pożycia, głosiła prawo kobiety do pełni seksualnych przeżyć, do równouprawnienia w tym względzie z mężczyzną. To było stanowisko, które mi odpowiadało. Wolna kobieta — o to właśnie chodziło. Żadnego fałszu, żadnej obłudą, żadnego skrepowania w życiu osobistym.

Taki rysował mi się ideał, zachwycalam się książkami Kołłontaj, podobnie jak kilka lat wstecz zachwycalam się niektórymi powieściami Karin Michaelis. Jedną z nich czytałam kiedyś w Lisowicach. Główną postacią była tam niewiasta, która miała kilkoro dzieci. Do dzieci tych przyjeżdżali od czasu do czasu wujkowie. Raz był to marynarz z dalekich mórz, kiedy indziej lekarz czy inżynier. W miarę jak rozwijała się akcja, stawało się jasne, że ci domniemani wujkowie to ojcowie poszczególnych dzieci. Następnie jednak z takich czy innych względów ona odchodziła od nich lub też oni odchodzili od niej. Kobieta pozostawała wolna. Rozporządzała swoją osobą tak, jak chciała. Ale z kochanymi niegdysz mężczyznami łączyła ją nadal stosunki przyjazne. Stanowili oni wraz z nią i z jej dziećmi jedną rodzinę, pełną pogody i harmonii. Bardzo spodobało mi się takie rozstrzygnięcie zawilości małżeńskiego życia. Kobieta pozostawała wolna. To było najważniejsze. Teraz z podobnym stanowiskiem spotkałam się u towarzyszki Kołłontaj, zresztą nie u niej jednej.

Analogiczne poglądy znajdowałam w niejednej broszurce i w powieściach radzieckich, z którymi zapoznawałam się w owym okresie. Takie książki, jak „Łuna z prawej strony”, „Bez czeremuchy” i szereg innych, były wówczas bardzo poczytne. Stanowiły one niewątpliwie protest przeciwko zakłamanemu burżuazyjnemu małżeństwu i temu zawdzięczały swą popularność. Ich silną stroną była negacja przeszłości, ale jednocześnie pozbawiały one wzajemny stosunek dwojga ludzi wszelkiego romantyzmu i traktowały miłość jako przeżytek

burżuazyjny. Na jej miejsce stawiały brutalną żądzę i głośiły prawo do przeżyć erotycznych bez żadnych uczuciowych osłonek. Były to zagadnienia, które wówczas żywo zaprzątały umysły. Wraz z Rewolucją Październikową pękły więzy krępujące od wieków życie osobiste. Ludzie pragnęli żyć po nowemu. Ale jak? Odpowiedź na to nie była łatwa. Walka przeciwko obłudzie i zgniliznie burżuazyjnego małżeństwa prowadziła niejednokrotnie do głoszenia haseł zupełnej anarchii płciowej, wyżycia się za wszelką cenę. Sprawa rodziny przestawała istnieć. Dziećmi miało opiekować się państwo. Do głosu dochodził drobnomieszczański bunt i drobnomieszczański bezład. Zwłaszcza w środowisku inteligencji, a także wśród młodzieży, zagadnienia te nabierały znaczenia pierwszoplanowego. Znajdowałam się w pewnej mierze pod wpływem tego rodzaju poglądów. Do legalnego, burżuazyjnego małżeństwa czułam od dawna wstręt. Frazeologię, jaka je otaczała, przejrzałam nieomal w latach dziecińczych. Niewola kobiety była mi obmierzła. Już we wczesnej młodości entuzjazmowałam się ruchem feministek, walczących o równouprawnienie kobiet. Gdym w owych latach czytała „Norę” Ibsena, wzruszałam ramionami. Cóż to za zagadnienie? Trzeba po prostu odejść od męża i nie robić z tego tragedii. Trzeba umieć stać na własnych nogach. Dlatego niezwykle gorąco przyjąłam w latach szkolnych powieść Prevosta „Les vierges fortes”. Oto były kobiety, które potrafiły dać sobie radę w życiu. Były samodzielne, zarabkowały i obywały się bez mężczyzn. Żyły tak, jak to im odpowiadało. To właśnie mnie pociągało. Dlatego też w okresie berlińskim przytakiwałam ówczesnym głosicielom tak zwanej „wolnej miłości”. Nie zdawałam sobie sprawy — zrozumiałam to znacznie później — że obok słusznego protestu przeciwko wiekowemu ujarzmieniu kobiety kryła się w ich stanowisku apologia wszelkiej rozwiązłości. Razila mnie wprawdzie brutalność tego czy owego opowiadania (obrzydliwą nowelkę, która nadała tytuł całemu zbiorowi „Bez czeremuchy”, mogłabym streścić, jakbym ją dziś czytała), ale w zasadzie pochwalałam prawo kobiety do pełnej wolności

erotycznej. Widziałam w tym całkowite jej równouprawnienie z mężczyzną. Było to zresztą w moim osobistym życiu jedynie teorią. Byłam w tej dziedzinie nader surowa wobec samej siebie.

Kiedys w rozmowie z Witem zeszliśmy na tematy osobiste. Szliśmy ulicą i ja przekonywałam go gorąco, że flirt jest wymysłem burżuazyjnym, niegodnym działacza robotniczego. Towarzysz Walecki przystanął i aż zataczał się ze śmiechu, a ja klarowałam mu swoje. Przecież dotychczas widziałam flirt tylko w środowisku wielkiej burżuazji, gdzie stanowił on osłonę dla zdobycia z góry upatrzonej posażnej panny lub też odwrotnie, stawał się sposobem złowienia dobrze usytuowanego epuzera. Flirt był zgnilizną w tym świecie, z którego wyszłam. Był mi obmierzły i obcy.

To wszystko tłumaczyłam towarzyszowi Waleckiemu, który śmiał się i kpił ze mnie przez całą drogę. Ale ja zostałam przy swoim. Nie flirtowałam w Berlinie z nikim. I właściwie przez całe życie nie potrafiłam flirtować. Nie umiałam i nie chciałam. Nawet towarzysz Walecki nie zdołał mnie do flirtu przekonać. Był o wiele lat ode mnie starszy, nosił rozłożystą brodę, co wówczas należało do rzadkości i uchodził za bardzo brzydkiego, czego nie dostrzegałam. Ludzie bali go się, bo biada temu, kto dostał się na jego wielce zjadliwy język. Ja natomiast ceniłam go w owym czasie bardzo. Ale też na tym poprzestawałam. Na sprawy osobiste nie zwracałam jeszcze uwagi. A wielkie, gorące uczucie przyszło znacznie, znacznie później.

Polecenia partyjne

— Czy chcielibyście podjąć się poprawienia tego tłumaczenia? — zwrócił się do mnie któregoś dnia towarzysz Walecki. — Jest bardzo źle zrobione. Zorientujcie się, czy można je przeredagować czy też trzeba przekładu dokonać od nowa.